

## Wspomnienia o Andrzeju Bekerze

***Cześć, Lechu!*** - słyszałem w słuchawce, gdy się do niego dodzwaniałem. Bo to z reguły taki był kierunek naszych połączeń telefonicznych. Mówił „Lechu”, bo miał jakieś szczególne upodobanie do nazwisk. ***Cześć, Bejker!*** - odpowiadałem, próbując się dopasować do tej poetyki kalamburów, przekrętów i przeinaczeń nazwisk, w których się lubował. Korytarze kuratorium do niedawna (może nawet do dziś?) pękały ze śmiechu na wspomnienie cudacznie i frywolnie przekręconego nazwiska wysokiego urzędnika z lat 90.

Na pierwszy rzut oka mało kto domyśliłby się, że ten wysoki, szczupły jegomość z dwudniowym zarostem, zmęczoną trochę twarzą, wyposażony został przez Boga w tak specyficzne poczucie humoru – satyryczne, ironiczne, choć momentami kąśliwe, w pełni prezentowane w dowcipach, anegdotkach czy zoilach, publikowanych na tych łamach. A także w pseudonimach i ksywkach nadanych współpracownikom kuratorium razem ze Zbyszkiem Paską, drugim urzędowym prześmiewcą i facecjonistą, które przetrwały do dziś, głównie wśród „etosowej” części wizytatorów. Etosowej, czyli tej z początku lat 90., rekrutowanej z nauczycieli nielegalnej i odradzającej się „Solidarności”, byłych studentów NZS-u, ludzi opozycji. Miałem przyjemność znaleźć się w tej grupie, miałem przyjemność poznać tu Andrzeja, Zbyszka, Jurka, Krzyśka, Ferdynanda, Staszka i wielu innych.

Choć nie tęsknię za urzędniczą pracą, tęskno mi do atmosfery i klimatu tamtych dni, przekonania o doniosłości naszej pracy, często mylonej z misją. A przede wszystkim tęskno mi za Nim – dowcipnym, acz bardzo rzeczowym, konkretnym i inteligentnym facetem, który odbierając ode mnie telefon, rzucił tym swoim niby smutnym głosem – *cześć, Lechu...*

I gdy przypomnę sobie tłumy na cmentarzu, w ostatniej drodze Andrzeja, to wiem, że takich jak ja jest więcej. Dużo, dużo więcej...

Cześć Bejker.

*Piotr Lech*